

Michał „rysiek” Woźniak

Czarny PR wokół e-podręczników

Czarna kampania przeciwko e-podręcznikom jest dobrze przemyślanym atakiem na nasze prawo do edukacji. Zwolennicy otwartych zasobów edukacyjnych od lat walczą o zasoby dostępne na licencjach pozwalających kopiować, modyfikować, rozpowszechniać – tak by nauczyciel nie bał się skopiować uczniowi programu, którego używa, czy podręcznika, z którego uczy. Ta wolność zagrożona jest przez partykularne interesy kilku firm wydawniczych.

Sezon ogórkowy dobiegł końca, nadszedł wrzesień – i szkoła. Również ta cyfrowa. A wraz z nią e-podręczniki. Morze atramentu wylano, pisząc na ten temat, głównie przeciwko planowi elektronicznych podręczników i zasobów edukacyjnych dostępnych na wolnych licencjach. Co warto zauważyć: o ile ostrze krytyki zwykle zwrócone było przeciwko kwestiom finansowym, technicznym czy proceduralnym, o tyle to, co tak naprawdę jest dla inicjatorów tej kampanii nie do przyjęcia – to właśnie wolne licencje.

Czym są wolne licencje?

W każdym podręczniku na pierwszej lub ostatniej stronie znajdziemy tekst „wszelkie prawa zastrzeżone”. To przypomnienie, że prawo autorskie obejmuje również podręczniki i że wymagana jest jednoznaczna zgoda właścicieli praw (autorów, wydawcy) na jego kopiowanie, rozpowszechnianie czy modyfikowanie.

Wolne licencje odwracają tę sytuację, z góry dając każdemu prawo kopiowania, modyfikacji i rozpowszechniania dzieła pod warunkiem podania informacji, kto jest autorem oryginału. Nie musimy zatem zastanawiać się, czy możemy

podzielić się ze znajomymi muzyką pobraną z Jamendo ani czy wolno nam wykorzystać artykuł z Wikipedii – licencje wykorzystywane na tych stronach mówią nam wprost i z definicji „tak”. To ma oczywiście bardzo dużo sensu w edukacji. Otwarte zasoby edukacyjne pozwalają nauczycielom i uczniom bez obaw o naruszanie prawa korzystać i dzielić się materiałami, uzupełniać je i ulepszać, wreszcie – publikować własne wersje. To jest sprawdzony model Wikipedii czy wolnego oprogramowania, tyle że w przypadku edukacji wynikiem są nie tylko lepsze, pełniejsze i bardziej aktualne treści, lecz również bardziej zaangażowani nauczyciele oraz lepiej orientujący się w cyfrowym świecie i swoich prawach uczniowie.

Przekłada się to również na kieszeń rodziców (zwłaszcza z rodzin wielodzietnych), którzy nie muszą z roku na rok kupować nowych zestawów książek dla swoich pociech – otwarte zasoby edukacyjne łatwo pozostają na czasie. Wystarczy pobrać nowszą wersję lub uaktualnić starą. Do tego wszystkiego prawa dają nam wolne licencje.

Z punktu widzenia niemal wszystkich zaangażowanych w proces edukacyjny – uczniów, rodziców, nauczycieli – wolne licencje są ogromnym krokiem naprzód. Pozwalają wyzwolić kreatywność, zaoszczędzić pieniądze, dać praktyczne pojęcie o prawie autorskim, walczyć z wykluczeniem, utrzymać aktualność treści...

Taka kultura dzielenia się jest jednak (pozornie) nie do pogodzenia z modelami biznesowymi dużych firm wydawniczych, co owocuje obecną kampanią czarnego PR-u przeciwko e-podręcznikom. Pytanie brzmi, czy ta czysto biznesowa kwestia powinna być problemem uczniów, rodziców, nauczycieli i urzędników?

Wolny biznes

Wbrew przekonaniu wydawców istnieją przykłady, jak można zarabiać na otwartych zasobach edukacyjnych i na dziełach objętych wolnymi licencjami.

Skoro otwarte zasoby edukacyjne objęte są wolnymi licencjami, również wydawcy mogą z nich korzystać do woli, niezależnie od tego, kto je przygotował. Nic zatem nie stoi na przeszkodzie, by wydawcy przygotowywali profesjonalne wersje papierowe tych materiałów – przecież niejeden rodzic skusi się na ich kupno zamiast drukować w domu! Być może do podręczników będą potrzebne testy, zeszyty ćwiczeń czy materiały dodatkowe – dzięki wolnej licencji na podręcznik każdy wydawca będzie mógł je przygotować.

Nie ma żadnych przeciwwskazań, by wydawcy (np. na zlecenie) przygotowali wersje dostosowane do konkretnych, specyficznych profili klas – usuwając część danego podręcznika czy rozszerzając pewne jego działy. Nie dość, że mogliby to zrobić – ta możliwość jest właśnie jednym z argumentów za otwartymi zasobami edukacyjnymi!

Zaklinanie rzeczywistości

Biznes wydawniczy nie chce tego widzieć i zaakceptować, bo oznaczałoby to zmiany. Zamiast więc próbować dostosować się do nowych re-

aliów i znaleźć metody zarabiania niekłójące się z wolnymi licencjami (oraz przyszłością edukacji w Polsce), woli traktować je jak „problem”, który trzeba „rozwiązać” za pomocą agencji PR i prawników.

Zmiany rzecz jasna przyjdą, niezależnie od zaklinania rzeczywistości przez ich przeciwników; widzą to duże instytucje edukacyjne na świecie: Uniwersytet Harvarda poprosił niedawno swoich pracowników naukowych o publikowanie prac na wolnych licencjach¹ zamiast w uznanych periodykach naukowych – co ma pozwolić uczelni zaoszczędzić 3,5 miliona dolarów rocznie, jednocześnie zwiększając dostępność prac naukowych.

Polska edukacja ma szansę nie tylko czerpać z tego przykładu, ale i pójść krok dalej. Program polskich e-podręczników na wolnych licencjach wywołuje żywe zainteresowanie w środowiskach związanych z edukacją na całym świecie. W dziedzinie otwartej edukacji Polska może stać się niekwestionowanym liderem. Czy zyski kilku wydawnictw powinny stać na drodze lepszej, tańszej i bardziej nowoczesnej edukacji?

Tekst dostępny na licencji *Creative Commons* – Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 3.0 Polska

Autor reprezentuje Fundację Wolnego i Otwartego Oprogramowania

*Ludzki umysł raz rozciągnięty nową ideą,
nigdy nie wraca do pierwotnego rozmiaru.*

Oliver Wendell Holmes

¹ <http://www.guardian.co.uk/science/2012/apr/24/harvard-university-journal-publishers-prices>